

639
K31002
01319



7323

143
KAZIMIERZ TETMAJER

1-39
Dubl
194

KSIĄDZ PIOTR

NOWELA

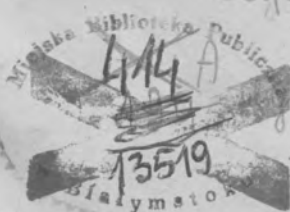
Odznaczona I nagrodą na konkursie «Czasu»



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1907



884-3112

S. X.
R. 640
30/6.46



— Jakiegoś to herbu, panie Dzięgielewski? —
Cykorya?

— Ozorya, do usług księdza kanonika dobrodzieja.

— Aha! No proszę, toby myślał. A napiłbyś się panie Dzięgielewski herbu Ozorya wódki?

— Jak wola księdza kanonika. Czemu nie?

— A jakążbyś wacan dziś preferował. Anyżówkę, czy kminkówkę?

— A no tak po prawdzie żeby powiedzieć, to kminkówka ze względu, jako jutro jest wtorek, wydaje mi się racjonalniejsza.

— O! Jakimże to górnym stylem przemawiasz! Myślałby kto, żeś z nieboszczykiem Słowackim *Króla Ducha* komponował. Ale cóż to ma do tego, panie Dzięgielewski, organisto?

— Niby co, za pozwoleniem księdza kanonika, ma co do czego mieć?

— Kminkówka do wtorku?

— A no, po prawdzie, żeby powiedzieć, to ona może i nic do niego nie ma.

— To dlaczegoż wasan powiedziałeś?

— E, kiedy to jegomość to tylko zawsze tak człowieka musztruje...

— Ho! ho! panie Dzięgielewski, organisto kłoniccki! Pamiętasz, jakem was maszerować uczył, tu na dziedzińcu przed plebanią, kiedy to się na burzę zabierało? I karabinem machać? Choć, co prawda, tom sam maszerować nigdy nie umiał, bom służył w jeździe i miał pałasz, nie karabin. Pamiętasz, panie Dzięgielewski, jaki był ze mnie tegi oficer w piątym pułku ułanów, za księcia Konstantego? Jakiego miałem konia kasztanka, ho! Pamiętasz waść, panie Dzięgielewski?

— Jakże mogę pamiętać, księżę kanoniku dobrodzieju, kiedy wtenczas moja matka jeszcze panną bywszy, w Sabańciszkach na jarmarkach tańcowała?

— A prawda, panie Dzięgielewski, że tyś cokolwiek młodszy odemnie. Wieleż to wiosen sobie liczysz?

— W metryce mam, jakom się urodził w trzydziestym drugim, z ojca Kaspra Mateusza i Kleofasyi Zaścianańskiej, Ozorya Dzięgielewskich małżonków.

— I odrazu miałeś takie żółte wąsy, panie Dzięgielewski organisto?

— Ou, gdzie zaś! Jakże mogłem wąsy mieć, dopiero z łona matki wyszedłszy?

— A był Rzymianin *dentatus*, co się z zębami urodził, dlaczegóżby nie miał być Dzięgielewski »wąsatus«? Czyś to co gorszego od jakowego poganina, albo co?

— Pewnie, żeśmy od pogan lepsi — jeszcze szlachta...

— A widzisz. A ja się urodziłem w siedmset

dziewięćdziesiątym dziewiątym, a teraz mamy ośmset ośmdziesiąty szósty, to ileż mi jeszcze do setki brakuje, panie Dzięgielewski, herbu Cykorya?

— Ozorya, żeby po prawdzie powiedzieć, do usług księdza kanonika dobrodzieja.

— Niech mu będzie. No, wiele?

— Żeby ksiądz kanonik miał dziewięćdziesiąt, toby brakowało dziewięć.

— A żebym miał sto, toby nie-brakowało nic, prawda?

— E, kiedy to jegomość musi zaraz człowieka stropić. Jak się zaś od dziesiątki odejmie...

— No, wiele, prędko?

— Ouu, przecież to tak zaraz...

— A nibyś taki, panie Dzięgielewski, w rachunkach nagły, jak żyd w tańcu. To już ci pomogę. Trzynastka mi brakuje do setki. Wieleż to czyni?

— Właśnie chciałem powiedzieć, na psa urok, ośmdziesiąt siedem.

— Trzynastka, panie Dzięgielewski, trzynastka feralna cyfra. Ale, jakem szlachcic, jakem Piotr Zalański, nie opuszczę Panu Bogu od setki ani dnia, na honor, nie opuszczę. Czym to jeszcze nie krzepki? Zeszłej niedzieli, pamiętasz waść, jakem huknął z ambony ku panu Karasowskiemu Bolesławowi z Wólki, co był zasnął w ławce, tak się wzdrygnął, aż mu okulary z nosa spadły. Oho! jeszcze się nie dam. Napileś się, panie Dzięgielewski, wódki?

— Jakże, kiedy ksiądz kanonik tylko obiecać raczył?

— No to wyjmijże karafeczkę z kredensu.

A że dziś jest poniedziałek, a jutro wtorek, dwie. Nie tę, tamtę, tak. Na tę intencję lykujesz sobie naprzód anyżki, potem kminkówki.

— Za łaską księdza kanonika.

— Lyknąłeś?

— Niby tak.

— Teraz drugą.

— Niby już.

— Zakaższe teraz pierniczkiem. Dobry?

— Hm! hm! Delicje!

— No to idźże teraz, panie Dziegielewski do domu, a kłaniaj się pięknie pani Dziegielewskiej i pannie Anastazyi Paprykowskiej, jej siostrze ciotecznej, a ja sobie tymczasem pacierze poranne odmówię. Bóg z tobą, panie Dziegielewski, herbu Cykorya.

— Całuję rączki księdza kanonika dobrodzieja. Ozorya.

I pan Dziegielewski, obtarłszy rękawem płowe, siwiejące, długie wąsy, pocałował księdza kanonika niżej łokcia i wyszedł.

Wówczas staruszek przeżegnał się, złożył ręce na piersiach i począł chodzić po pokoju jednostajnym wolnym krokiem, szepcząc półgłosem modlitwy, zaś stary gończy Zagraj, śpiący dotychczas pod kanapą, otworzył naprzód jedno oko, potem drugie, wstał, przeciągnął się, ziewnął, i jak to już od lat dawnych zwykł był czynić codziennie, puścił się krok w krok za swoim panem. Od czasu do czasu staruszek ręką muchy uprzykrzone odganiał, od czasu do czasu kłapał na nie zębami stary Zagraj i tak chodzili obaj aż do śniadania.

W trakcie modlitwy ksiądz Piotr spoglądał niekiedy na ścianę, gdzie wisiały pięknie wypolerowane dubeltówki i tkwiły wielkie, rosochate poroża jelenie, przyglądał się chwilę kwitnącym w doniczkach na oknie hyacyntom i azaleom, albo wybujałym pod oknem malwom i słonecznikom, niekiedy przewiódł mimochodem oczyma po zrównanych w rząd cybuchach i połyskujących piankowych fajkach, lub też nie przerywając szeptu pacierza, przed szafą z książkami się zatrzymał, tę, ową poprawił, i szedł powoli dalej, pies zaś za nim. Na świat też nieraz spojrzzał, bo na dziedzińcu uwijali się parobcy w ponsowych kabatach, pan Walenty Mościk, ekonom, krzychał i komenderował, młode psy rozganiały kurczęta, stary, oblaskawiony żoraw, Marcin, żróbki ploszył i indorom się sprzeciwiał. Gwar był i ruch. Dziewki w żółtych i pstrokatych chustkach na głowie, przechodziły, nucąc tęsknie i rozwiodle, pawie roztaczały świetne ogony i puszyły się, wlekąc skrzydła po ziemi, gołębie chmurą zlatywały z nad dachów i wznosiły się nad nie, zataczając wielkie koła. Na to wszystko padało poranne słońce, bardzo jasne i promieniste, kładło plamy złotawe na ziemi i słało poświetał mieniącą na lipach i brzozech.

Ksiądz Piotr, nie przestając się modlić, patrzył w okno siwy i cichy, z dłońmi zetkniętymi przy ustach, a gdy już ostatnie słowa pacierza wyszeptał, jeszcze znaku krzyża nie kładł, tylko stał przy oknie długo i patrzył. I potem znak krzyża na własnych naprzód ramionach uczyniwszy, kreślił go w powietrzu, biogosiławiąc z swego pokoju kło-

nickim łanom, lasom i wodom rybnym i ludziom w polu robiącym, i trzodom, co się po łąkach pasły.

Tak było często.

Wypiwszy kawę, ksiądz Piotr zapalał piękną fajkę piankową na długim, wiśniowym cybuchu, z dużym, kosztownym bursztynem, dar nieboszczyka kolatora, pana marszałka i pociągnawszy kilkanaście razy, pochylał się w tył w fotelu i zaczynał drzemać, przyczem zwykle coś mu się śnić musiało, pomrukiwał bowiem: ho! ho! i poruszał wskazującym palcem prawej ręki, co czynił zawsze, ile razy opowiadał z zajęciem, lub dawne czasy wspominał.

Miało mu się też co marzyć! Dzieciństwo naprawdę »sielskie anielskie« w Załanach; służba pod księciem Konstantym, kilka lat emigracyi, długa wędrówka, wreszcie kilkadziesiąt lat służby Bożej, twardej i pełnionej po żołniersku, bez folgi, po rozkazie...

Księdzem nie został ten niegdyś świetny rotmistrz ułański z powołania; przyznawał się do tego otwarcie. — Ja — mówił nieraz — urodziłem się, kochanku, na księdza, jak moja dziewczka Wikta, co korzec ziemniaków na plecy bierze, na baletnicę. Byłem młody, przystojny, ho! ho! nie biedny, a do tego żywy, lekkomyślny, pusty, ot szlachcic polski i do tego kawalerzysta. Alem poznał, kochanku, w czemeśmy zawinili. Ja, kiedy mi mój luzak, Sobek, chłopak z Załan, szabli niedopolerował, albo butów na czas nie przyniósł, buch go w pysk! Mój ojciec, mój dziad, mój pradziad, wszyscy Za-

łańscy za takie same i podobne rzeczy swoich Sobków buch w pysk! Dlatego mi mój chłopak przed pierwszą bitwą uciekł, dlatego w czterdziestym szóstym mego brata stryjecznego Stanisława jego własny lokaj za nogę z konia ściągnął, a potem go chłopci tak zsiekli, że go poznać nie można było. Ja poszedłem robić ekspiacę za siebie i za innych Załańskich, poszedłem, kochanku, służyć tym, względem których czułem się winny... A czy ty myślisz kochanku, że mnie łatwo było rzucić wszystko, cały świat, który mi się śmiał, sutannę oblec, na wieś iść, dzieci chłopskie chrzcic i szczerbate baby spowiadać? Nieraz myślałem, że nie wytrzymam, kochanku. Jeszcze jak węgierska wojna wybuchła, o małym sutanny na kolku nie zawiesił i za Karpaty nie ruszył. Ale powiedziałem sobie: zameldowałeś się Bogu do służby, słuź! A służba Boża twarda rzecz i On nie żartuje. Kiedy dobry, to dobry, ale jak się rozsierzdzi, wszyscy w ką, nawet Michał Archanioł, choć to wielki wojownik i dyabłu skórę wyprał, stronami tylko szabłą pobrzękuje, a przed Panem Bogiem tak ją cicho w garści niesie, jakby po cesarskich pokojach stąpał. A cóż dopiero marny człowiek, choćby nawet kanonik. Ho! ho! Ale potem jużbym za skarby świata mojej sutanny nie zwłókl i mojej parafii nie opuścił. Com z początku, kochanku, jako pokutę, jako ekspiacę podjął, żebym ja pan z panów i oficer kawaleryjski między proste chłopstwo schodził, życie mu moje, moje dni i noce w ofierze niósł, tom się w tem potem rozmiłował... A potem rozmiłowałem się i w rzeczach boskich i za-

cząłem te dusze boskimi robić. I myślałem sobie znowu: co ja tu jedną duszę kłonicą Bogu przypodobię, to On tam, sędzia sprawiedliwy i miłosierny, Zalańskim choć po roku jednym pokuty czyścowej odpuści. A potem przez miłość Boga zacząłem i ludzkość szeroką miłować i tę miłość w kłonicie dusze szczepić... I powiedz mi, możeż być co piękniejszego na ziemi, jak dusze Bogu, swoim i ludzkości skarbić? A te kłonicie dusze, one są gliniaste i kamieniste, ale w nich i czarnoziem jest, one nie są złe; one są dobre. Tylko one są bardzo trudne i trzeba je, kochanku, bardzo kochać i bardzo im pobłażać i ludzkość im świadczyć. Żebym ja był mojego Sobka mniej bił w pysk, a więcej do niego mówił, nie byłby on mi przed pierwszą batalią powiedział: »a mnie wciórnaści do tego« — i uciekł, gdzie pieprz rośnie. I widzisz, mogę śmiało, kochanku, powiedzieć, że do czegoś się zameldowałem, to spełniłem; byłem, śmiało mogę powiedzieć, dobrym księdzem, dobrym duszpaste-rzem. A żebyś mi to prorokował był tak lat temu sześćdziesiąt, kiedy ja dla panny Jadwigi Karśnickiej siwą klaczkę turecką ujeżdżałem, a potem ją na tej samej klaczy wykradłem, Panie odpuść, dla mego przyjaciela, Hilarka Roszczewskiego, że mnie w sutannie do trumny będą kładli, kiedy ja myślałem w jeneralskich szlifach na dolinę Józefata iść... Ho! ho! Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi... Ho! ho!... Niema tam gdzie pana Dziegielewskiego?

Bez pana Dziegielewskiego nie mógł się staruszek kilku godzin obejść. Ów zaś pan Dziegielewski, z drobnej, zagonowej, żmudzkiej czy litew-

skiej szlachty, przywędrował jeszcze z ojcem nieboszczykiem Kacprem Dziegielewskim, herb Ozo-rya, z Litwy, i znalazł przytułek w kłonicim dworze. Zrazu pomagał dworskemu pisarzowi w rachunkach, a że do cyfr głowę miał nieosobliwą, a na flecie pięknie grywał, poświęcił się kunsztowi organistowskiemu, i taką z miechów czułość wy-dobywać umiał, że się panie Krystynie Kolasikie-wiczównie, pokojowej pani marszałkowej, mdło zrobiło podczas sumy i ostatecznie została panią organistową, a razem ze stanu mieszczkańskiego do godności szlacheckiej podniesioną.

Z panem Dziegielewskim toczył ksiądz Piotr dysputy o wszystkim, zacząwszy od owsa i polityki, kończąc na astronomii i motylcy. Droczył się z nim i trafiał w jego szaraczkową godność szlachecką, przekręcając mu Ozoryę na cykoryę, co się najmniej od lat trzydziestu zawsze z jednako-wym skutkiem powtarzało.

Pan Dziegielewski nosił na codzień czarny halsztuk na szyi, długi tabaczkowy surdut, kamizelkę w centki i pasiaste spodnie, na niedzielę zaś i święta, imieniny papieża i księdza kanonika halsztuk z ciemnego granatu, nowy surdut tabaczkowy, kamizelkę sieraczkową i nowe, pasiaste spodnie. Miał pan Dziegielewski czapkę z daszkiem, chustki do nosa czerwone z brązowymi kółkami, rogową tabakierę, trzcinę z posrebrzaną galką i mosiężną pieczętkę z herbem.

Ksiądz Piotr lubił go bardzo.

Koło plebanii było jak w arce Noego. Oprócz zwykłych, domowych zwierząt, miał ksiądz Piotr

mały zwierzyniec, w którym sarny, zajęce i osobliwsze zamorskie gęsi żyły w bezprzykładnej zgodzie. Dozór nad tą menażeryą jak i nad ogrodem, miały sobie powierzony wszelakie baby i dziady, oraz kaleki i sieroty, jakie się w okolicy udało znaleźć. Ksiądz Piotr zbierał biedactwo, przygarniał, odchowował i wychowywał. Potrzebując dla siebie niewiele, bo go głównie piękne buty i rewerendy, do czego miał zawsze słabość, kosztowały, a mając i z parafii i z kapitałów własnych znaczne dochody, całe legiony ubogich żywił i odziewał. »Mój sąsiad — mawiał — ksiądz Wajdzik, kiedy kościół w Nowosiółku odnawiali, bronił malarzom po rusztowaniach chodzić, bo mógł który w okno wpaść, a szyby drogo kosztują; grosz do grosza zbija, psu na omastę nie da, żeby po jego śmierci chłopci blachą kościół pokryli i nową wystawili dzwonnice; a ja mówię, że ja lepiej robię. Bo Pan Bóg o blachy na kościele nie dba, tylko o to, jakie się dusze w tym kościele modlą, a czy Mu się dzwon wyżej czy też niżej lipy majda, to Mu także wszystko jedno, byle Mu serca ludzkie ku niebu dźwigał. U mnieby się też to i owo na kościele dało naprawić, ale mnie pierwsza sieroca gęba, niż dziura w gontach kościelnych«.

Miał ksiądz Piotr duży ogród cienisty, w którym wiele drzew, dziś już wyrosłych, własną jeszcze ręką sadił, przeszło pół wieku bowiem już na parafii kłoniczej siedział. Na owocach znał się wybornie, hodował je na prezenta dla kolatora i sąsiadów, a kwiatów było u niego wbród. Kiedy się koło nich krzątał, zawsze z nimi rozmawiał.

Jedne chwalił, na drugie zrzędził, nad innymi się litował. Trzeba było słuchać. — »Uu, takeś to wybujał, narcyzku, ażeś się zламаł, widzisz. Poczekajże, to cię podeprę. Tak. Teraz ci się będzie lepiej rosło. Trzymajże się dobrze, tak. A ten słonecznik, łobuz, jak się to rozpanoszył! Myślalby kto, że Bóg wie co! Jaki tulipan zamorski, albo ananas! Ty zaś czego się tu spinasz, powoju jeden! Patrzcie! Będzie na plot laź! Jak żeby żerdki nie miał! Owa! Jeszcze mi ucziwy groszek do czego złego namówisz. Spróbuj tylko! A te konwalijki, jakie śliczniutkie. Jak panienki! Tylko mi się tu nie pchajcie, astry. Ho, ho! Znam ja was. Nibym to nie był przy ułanach! Ho, ho!«

Czasem ksiądz Piotr, gdy się dobrze po obiedzie wyspał, pod wpływem dawnych wspomnień nabierał rycerskiego animuszu, a że dzieciennią już był trochę przez lata podeszłe, ofiarą padał pan Dzięgielewski. Kiedy się zaniósł na zawieruchę przed wojną prusko-austriacką, ksiądz Piotr, zakasawszy poły od sutanny, ze starą ułańską szablą w rękę, musztrował na dziedzińcu plebanii ochotników, między którymi był i pan Dzięgielewski, wówczas jeszcze pomocnik pisarza i kawaler. Otóż staruszek bywał od czasu do czasu ciekawy, czy organista nie zapomniał musztry?

— Bierz acan ten długi cybuch, nie ten, tamten, dłuższy — mawiał — a mnie proszę podać ten krótszy. Tak. Bacność! Marsz! W prawo zwrot! W lewo zwrot! Zachodź! Stój!

Organista spocony, zziąjany, stawał wyciągnięty jak struna przed kanonikiem, a ten przyglądał się

jego postawie, szturchając go lekko cybuchem pod brodę i obciążając sieraczkową kamizelkę ku pa-siastym spodniom.

Ćwiczenia te wojenne, choć dosyć rzadkie, irytowały mocno gospodynię księdza kanonika, pannę Katarzynę Capikównę, jako »i z powagą stanu kapłańskiego nielicujące i zdrowiu jegomości szkodzić mogące«.

Milczała jednak do czasu.

Ale raz nieszczęśliwie zdarzyło się, że księdzu Piotrowi, który słynął niegdyś, jako rębacz i jedenaście pojedynków odbył, a tylko go raz pan Bogusław Chomialski lekko koło prawego ucha drasnął, za co sam miał twarz »rozjehaną« od ucha po szyję, zachciało się spróbować, czy mu jeszcze »ręka chodzi«.

— Panie Dziegielewski, weź-no dziś ten drugi, krótszy cybuch — rzekł, wstając z fotelu i zdejmując fajkę z cybucha, z którego ciągnął.

— Naco, że śmiem zapytać?

— Zobaczysz. Parujno kwartę.

— Jak ksiądz kanonik mówi?

— Broń waść brzucha z lewej strony.

Organista zdumiał się.

— Wszelki duch Pana Boga chwali, po prawdzie żeby powiedzieć! Wedle czego?!

— Nie pytaj się nic, tylko słuchaj. Na lewej nodze się oprzej. Lepiej, tak. Przegnij się. Brzuch w tył. Ou, jaki to sztywny masz brzuch. Jakem był w twoim wieku, to jeszcze miałem jak panna Kłocia Tymińska, com to jej onegdaj gruszek suszonych do Strzyżowic posłał na siedmnaste uro-

dziny. Podnieś głowę. Prawa wolna, Tupnij! Raz, dwa! Wypnij piersi. Ręka tak. Potem tak. Rozumiesz? Ja tak, ty tak! Raz, dwa! *Garde vous!*

— Podług rozkazu, księże kanoniku!

— Teraz bacność! *En garde!*

Organista jęknął, a kwarta poszła tak dobrze, że ugodziła nietylko w brzuch pana Dziegielewskiego, ale i w dwa wazoniki z fuksyami na oknie, które zleciały z wielkim hałasem.

»Biada podrzędnym istotom, gdy wchodzą
Pomiędzy ostrza potężnych szermierzy« *)

zaдекlamował ksiądz Piotr, stając nad skorupami, ale wtem panna Katarzyna Capikówna wpadła do do pokoju, czerwona, jak pomidor, gwałtowna, jak bomba.

— Jegomość! — krzyknęła.

— A co? — spytał skonfundowany nieco ksiądz Piotr, nadrabiając miną.

— Wstyd i obraza Boska! Żeby tak kto zobaczył! Ksiądz kanonik, jak firecyk, z cybuchem po pokoju. A pan organista mógłby też mieć rozum. Ojciec dzieciom! I niby jakiś szlachcic! Jak się to jeszcze raz zdarzy, nie dam kawy, jak Boga mego, nie dam kawy!

— Owa! Babska groźba, żabie deszcz! — ośmiesił się mruknąć ksiądz Piotr.

— Babska nie babska! Jegomość mi też podlotek! — ofuknęła panna Katarzyna. — Może ka-

*) Hamlet.

mizeleczkę białą i żabocik! Patrziel! — i zape-
rzona wypadła jak huragan z pokoju.

Ksiądz Piotr jednak był kontent.

— Baba jest zwyczajnie jęcza — mrucał —
a bądź co bądź ręka nie jest jeszcze zła. Jakby
tak padło, ho ho!

Lubił ksiądz Piotr w letnie popołudnie za-
ogrodzenie plebańskie wyjść i na ławce pod star-
ym cisem siadłszy, w świat patrzeć. Widział stąd
zboża złociste, pełne modrych bławatków i maków
czerwonych, różowe i białe zagony koniczyn, łąki
zielone, przesiane mnóstwem różnobarwnych kwiat-
ków, mieniące się pod blask słoneczny. Widział bór
ciemny, jakoby pod rżącą, przezroczą gazą złoto-
szmaragdowego światła i gdzieś daleko mgliste,
błękitniejące góry; a nieopodal widział jezioro wiel-
kie, cichą, lekko falującą z wiatrem rozchwiej wo-
dną, nenufarami u brzegów i szeleszczącym sito-
wem zarosłą, iskrzącą się miejscem jak blacha
srebrna w słońcu, miejscem siwą lub siwo-fiolet-
ową. Po jeziorze pływały kaczkki dzikie, czerniąc
się na topieli sznurami, zawisały ponad niem cza-
ple o skrzydłach szerokich i chmary czajek krzy-
kliwych, a jezioro ciągnęło się szeroko, głęboko
w kraj, ciche, senne, lekko z wiatrem faliste.

Wszystko to było zatopione w jakąś szreżogę
światła, nieskończenie spokojne, rozległe, prawie
bezgraniczne, jakby zasluchane w wiatr i szum łąk
i wody, łagodnej smętności, rozkołysanych tęsknot,
jakiejś polnej zadumy i dziwnych, ogromnych upo-
jeń pełne...

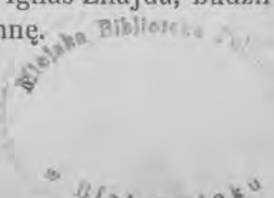
Ksiądz Piotr patrzył i patrzył, i zrazu odróż-

niał zboże od łąk, a las od wody, ale powoli po-
czynął mu się ten cały duży i rozmaity świat zle-
wać, łączyć, zamieniać w jedną wspólną barwę,
błękitną a prześwieclną. Zboża, kwiaty trawy i ci-
che kręgi fal jeziora i czaple na szerokich białych
skrzydłach i stada krzykliwych czajek i obłoki
przejrzyste i niebo jasno-błękitne, wszystko to na-
pełniało mu oczy i czyniło w nich wielką światłość
pogodną i niezmiernie słodką. Zdawało się księdzu
Piotrowi, jakoby on już nie świat sam rzeczywisty,
ale duszę świata widział, raczej opar jakiś czy
mgłę, kolory ziemi niosącą, niż samą ziemię.

A potem to widzenie więcej duchem, niż
oczyma, poczynano się gubić i rozwiewać w prze-
strzeni wylaniających się z pamięci obrazów, nie-
gdyś widzianych. Zatem poczynano się w duszy
księdza Piotra rozbłękitniać olbrzymie przewieje
morskie, z okrętami o białych żaglach i olbrzymie
przewieje pustynne; poczynano w niej szumieć ce-
dry Libanu i palmy oaz arabskich, poczynano w niej
rósć piramidy milczące i wulkany o czerwonych
kiściach płomienia u szczytu; poczynano się jawić
miasta wschodnie, stubarwne, i owe rzymskie mar-
twe, z ziemi dobywane, i ludzi tłumy i zwierzęta
dziwne; tworzył się w niej jakiś łagodny, przy-
ćmiony odległością czasu chaos wrażeń, ogarniało
ją zapomnienie się, zamyślenie. I nieraz dopiero
wysłany umyślnie przez gospodynię ulubieniec sta-
ruszka siedmioletni sierota, Ignasz Znajda, budził go
z zadumy, ciągnąc za sutannę.

— Jegomość!

— A... a co?



— Jegomość spali?
— E, tak mi się tylko nieco zdrzemało.
— Pani gospodyni kozeli pedzieć i prosi, coby jegomość śli.
— Dobrze, dobrze, zaraz idziemy.
— Jegomość!
— A co?
— A cy Pon Jezus to tak po niebie chodzi, jak jegomość po ziemi?
— A tak.
— A cy je boso?
— A pewnie. Pocóżby tam buty nosił, kiedy ciepło.
— A cy je wielgi?
— Ho, ho! jak świat!
— A to jak pierun gruchnie, to mu między palce od nóg leci?
— A pewnie, pewnie.
— A cy je dobry?
— Ho, ho! Jak miód!
— A miód je dobry?
— A czyś to nie próbował?
— A Pombók?
— A Pan Bóg jest też dobry.
— Jesce lepsjsy?
— Nie, jednako, jednako.
— A wielgi je Pombók?
— Taki, jak i Pan Jezus.
— Jegomość!
— A co?
— Pani gospodyni kozeli pedzieć i prosi, coby jegomość śli.

— Dobrze, dobrze, chodźmy.
— No, to podźcie. Dojcie renke. Pomalućku, boście starzy.

I Ignas brał za rękę księdza Piotra i szli razem ścieżką ku plebanii, rozmawiając po drodze dużo i seryo.

Zajęty służbą Bożą i ludzką, a zajęty bardzo ciężko, ksiądz wikary bowiem, studyjący dniami i nocami dzieła teologiczne, małą mu był wyreką, nie miał ksiądz Piotr wiele czasu myśleć o śmierci, tem bardziej, iż zawsze zapowiadał, iż od setki ani dnia Panu Bogu nie opuści. Ale pewnego jesienno wieczora, kiedy słońce zaszło, ostatnie fioletowe plamy kładąc na ciemnym niebie, ksiądz Piotr, który długo przedtem siedział w milczeniu na ganku od ogrodu, zdając się drzemać, zwrócił nagle głowę ku siedzącemu naprzeciw organście i rzekł poważniejszym niż zazwyczaj głosem:

— Panie Dziegielewski, mnie się zdaje, że trzeba iść.

— A dokąd, że śmiem zapytać?

— Dalej, niż stąd do kancelaryi parafialnej. Tam... I pokazał ręką ku bielejącemu się opodal murowi cmentarnemu.

Dziegielewski zachnął się:

— A co też ksiądz kanonik dobrodziej wygaduje! Po prawdzie, żeby powiedzieć, to nawet nie przystoi, pfe! Jeszcze można w złą godzinę...

— No, zobaczysz, panie Dziegielewski, organisto kłoniccki, że mnie już trzeba iść. Już czas, już i tę trzynastkę Panu Bogu odstąpić muszę.

— O, o! Wolalby jegomość nawet nie wymawiać takich przykrości.

— E, już i czas. Spowiadałem się właśnie dziś rano, jakby umyślnie. I komunię przyjąłem. Gotów jestem. Po księdza wikarego też jeszcze posłać można będzie, ale przeprosić go pięknie, bo pewnie nad »Summą teologiczną«, albo »Naśladowaniem Chrystusa« będzie siedział. Takich kanonikami robić, nie mnie, starego bajdę.

Od pół szły przez ogród chłodne i zwiędłe wonie jesienne i słychać było cichy, jednostajny szum wiatru.

— Panie Dziegielewski — ozwał się starszek.

— Słucham księdza kanonika dobrodzieja.

— Słuchaj waś, ale nie mnie, tylko świata. Słyszysz, jaki to szum? Wydaje mi się, że słyszę obrót całej tej wielkiej maszyny, której Bóg jest budowniczy i maszynistą wiecznym. Kręcą się na osiach planety i słońca, wszystko idzie po swoich drogach i szumi. Cały świat szumi. A On, budowniczy i maszynista wieczny, słucha i raduje się. Pomyśl tylko panie organisto kłoniczki, Mateuszu Tymoteuszu Dziegielewski, herbu cykorya, jaki to ogromny cudowny szum być musi! Ty myślisz, że jak wiatrak Kuby Michałowego z Zardawicy, a to jak tyśiąć, milion takich wiatraków. Ho! ho! Jak wszystkie fale Atlantyku i wszystkie wichry Sahary razem wzięte. Słuchaj tylko...

— Słucham księże kanoniku.

— Słyszysz?

— Słyszę, jak wiatr po ogrodzie szuści.

— A tego szumu świata, tej maszyny ogromnej, nie słyszysz?

— Nie, z przeproszeniem księdza kanonika dobrodzieja.

Ksiądz Piotr pomilczał chwilę, a potem znowu zaczął mówić:

— Odsuń, mości organisto tę szybę od północy. Niech jak najwięcej zapachu z pola wejdzie. Tam, jak tam... może być, jeśli Bóg miłościwy, i światło prześliczne i chóry anielskie i wonie rajskie mogą być i wszelki cud, ale przecież kłoniczki nie będzie, nie będzie tego zapachu z mego parafialnego ogrodu... Wieczność jest długa, ale i pięćdziesięciu lat też pies nie przeskoczy... Te młode więzy każesz podeprzeć, a żeby grusze dobrze na zimę słomą owinęli... Ho! ho! Takiego zapachu nie będzie... Mości panie Dziegielewski, ja byłem w Ziemi Świętej i w Arabii i we włoskich pomarańczarniach, a takiego zapachu jak u mnie w Zalanach dawniej, a potem tu w Kłonicach, nigdzie nie było. Panie Dziegielewski!

— Do usług księdza kanonika.

— Czy to już miesiąc wschodzi?

— Niby.

— Jasny jest? Bo mi się źle w tamtą stronę oglądać.

— Jasny.

— To chwala Bogu. Nie chciałbym w nie pogodę umierać.

— Uu, co też to ksiądz kanonik...

— Cicho, panie Dziegielewski, organisto, cicho. Miesiąc poświęci duszy, jasnym gościńcem pój-

dzie. A i dobrze, jeśli z ganku. To prawie tak, jakby z pola. U nas w rodzie mało kto na łożku gasł. W polu gasli. Dobrze, że się skończyli, bo kto wie, co by z nimi było, tak, jak z innymi. Kotu na łódź szlachectwo bez szlachetności w duszy. Tak, panie Dziegielewski.

— Słucham księdza kanonika.

— Ubierzesz mnie w nową sutannę, tę na jedwabnej podszewce, pasem jedwabnym przewiążesz, szpilką złotą z Korabiem przepiąć, buty nowe wyglansować, łańcuch kanoniczy na szyję, orderzy moje wojskowe na pierś. Sygnet zostawić na palcu, niech idzie ze mną... Obsypiesz mnie kwiatami, dużo macierzanki, bo pachnie, narcyzy w głowach. I szablę moją, mości Dziegielewski, złamać, bo jestem z rodu ostatni... Cóż to, ty buczysz, panie Dziegielewski?

— U-u-u... bo ksiądz kanonik tylko mi serce kraje...

— Albo wiesz co, panie Dziegielewski, szablę łamać szkoda, ale mi ją cicho, żeby ksiądz wikary nie widział, pod sutannę we fałdy włożysz. W rękach krzyż, nibym ja tylko ksiądz, ale tam, pod bokiem, szabla... Czujesz, jak z mego ogrodu pachnie, panie organisto?

— Czu-czuję... księżę kanoniku dobrodzieju...

— Testament jest tam, w biurku. Wszystko w porządku. Żebyś mi tu zawsze panie Dziegielewski, kwiaty w doniczkach podlewał i ogrodu strzegł. Nic nie sprzedawać, nic nie wypędzać. Na wszystko fundusz jest. Na dziady i na baby, na

sieroty i kaleki, na zwierzyniec, na Marcina i Zagraja. Wszystko ma być, jak było, póki nie wymrze, albo nie wyrośnie i w świat nie pójdzie. U mnie było jedno serce dla całego świata. Sarnię bez kozy takiej litości warte, co i dziecko małe. Bóg wszystko stworzył, wszystko miluje i o wszystkim wie. Panie Dziegielewski!

— Co ksiądz kanonik rozkaże?

— Bułanki panu Strzemieskiemu do Topolicy posłać. Broń Boże nie sprzedawać! On im łaskawy chleb da, bo nimi ostatni Zalański jeździł. Mój dziad pannie Bronisławie Strzemieskiej, będąc nieco podchmielony, srebrny imbryczek z ręki wystrzelił, a potem jej do nóg padł i ona była moją babką. Stąd my krewniacy. Bułanki do Topolicy, siwki księdzu wikaremu na pamiątkę, bo on rad tą maścią jeździ i tych jednych się nie bał. Strzałę weźmie porucznik Kotwicz, to kawalerski koń. Może da Bóg jeszcze obaj nie tej trąbki będą słuchali, co dzisiaj. Ho, ho!... Fajkę z Maryą Antoinettą i kalamarz brązowy z Napoleonem także księdzu wikaremu. Z majątku mego będzie fundusz na zakład wychowawczy, a tobie, panie Dziegielewski, przekazałem testamentem dwa buhajki, dziesięć tysięcy i jeszcze tam to i owo, a tu masz ciepłą ręką tę tabakierkę szyldkretową z rubinem, żebyś o starym księdzu pamiętał.

— Uu, uu, uu, księżę kanoniku dobrodzieju!...

— A nie klękaj przedemną waść, nie całuj mię po kolanach, fe, wstyd, wszyscyśmy równi. A że ja mam więcej, to ci daję. Tak powinno być i koniec. A nie bucz tak, panie Dziegielewski, bo

ludzi pobudzisz... Narobią się dzień cały, potrzebują spać. Ja się też choć pół życia napracowałem, trza iść spać... A tak przecież dziwnie... Niby się wie, że się ma umrzeć, a tak dziwnie... Tu jutro już może czleka nie będzie, a tu żeby choć jeden listek z lipy opadł, żeby choć jedno źdźbło trawy zawiędło... A przecież wszystko z jednego Boga wyszło, Bogiem trwa... Marność marności jest człowiek i nie tylko marność... Rok, dwa, będą pamiętali, potem zapomną... Niech tam, byle Bóg miłosierny nie zapomniał... O resztę nic!

— Jak mi się też żywo przypomina, jakem tu pierwszego dnia przyjazdu po alei grabowej w ogrodzie chodził... Takie były te graby, jak i dzisiaj, rozłożyste i szumiące. Lat pięćdziesiąt, pół wieku z górą... Nie chce mi się wierzyć, żeby ta pszenica tak samo prosto rosła, a przecież będzie... Tyle lat. Com ja tu chrzciał, com tu pochował... O, jak to jasno.

Przez liście winne, które ganek gęsto obrosły, poczęła wmykać się światłość miesięczna, cicha i srebrzysta, zawisała na liściach i patrzyła w dół. Szum wiatru, poruszając liśćmi, jakoby przymykał i odchylał jej powieki. Ksiądz Piotr spoglądał jakiś czas w górę, potem głowa opadła mu ku piersi, a pan Dziegielewski, któremu grube łzy spływały na wąsy, słyszał, jak staryszek szeptał:

— Niema co, niema co, trzeba iść. Teraz wieczór, jutro rano, ale trza... Jak to księżyc na mnie patrzy... Jakby mi jasność jaką zapowiadał niebieską. Ale kto wie... nigdy się niczego nie bał, com się to śmierci napatrzył w oczy, a przecież mi ja-

koś straszno... Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu, Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu... *Mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa...* A i krew jest na mojej duszy...

Opuścił jeszcze niżej głowę na piersi i milczał chwilę, ale nagle podniósł ją i silnym głosem przemówił:

— Mości Dziegielewski, jak odśpiewają *Requiescat in pace*, każesz ze wszystkich możdzierzy parafialnych huknąć... Pamiętam w brzezince leci na mnie oficer dragoński, jak go chlasnę! Ale to było w dobrej sprawie, panie Dziegielewski... Poprawno ten knotek w lampce przed Matką Boską Bolesną... Tak...

Poczem ksiądz Piotr przymknął powieki i począł drzemać, ale organiście się zdawało, że głowa opada staryszkowi coraz niżej i że oddycha coraz słabiej i słabiej. Trwało to czas jakiś, aż się pan Dziegielewski zaniepokoił i miał już wstać, aby przywołać pannę Capikównę, gdy zegar uderzył dwa razy na wpół do dziesiątej i we drzwiach, wiodących z sieni do ganku ukazał się mały Ignas Znajda w koszulinie i płóciennych majteczkach. Podszedł on ku fotelowi księdza Piotra, i pociągnawszy go lekko za sutannę ozwał się:

— Jegomość! Podźcie! Pani gospodyni kozeli pedzieć i prosi, coby jegomość śli spać. Podźcie, dojcie renkel! Pomalućku, boście starzy. Jegomość!

Ale kiedy ksiądz Piotr nie poruszył się, ani nie odpowiedział, wówczas Ignas podniósł oczy na pana Dziegielewskiego, i spytał:

— Panie organisto! cy jegomość pomarli?

A13519

A